

# PAUza

Akademicka



Rok XVII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 686

Kraków, 25 kwietnia 2024

[pauza.krakow.pl](http://pauza.krakow.pl)

[pau.krakow.pl](http://pau.krakow.pl)

## *La critique polonaise*

W 2011 r. jeden z historyków napisał z żalem, że w Polsce koledzy specjaliści często skupiają się na polemice „tylko z jednym, wybranym elementem, po wykazaniu błędności którego odrzuca się całość autorskiej koncepcji”. Skłoniło mnie to do stosownej refleksji.

Chociaż moje główne pole badawcze mieści się wśród dyscyplin humanistycznych, to wybitnie interdyscyplinarna specyfika badań archeologicznych sprawia, że mam często do czynienia z przedstawicielami nauk STEM. Nie biorę jednak udziału w ich zbyt dla mnie specjalistycznych konferencjach i zebraniach naukowych, więc nie wiem, jak wyglądają prowadzone tam dyskusje, ani jak podchodzi się do nowych publikacji. Jako uczestnik licznych debat toczonych przez humanistów w różnych krajach mam natomiast dobry ogląd ich podejścia do nowości wydawniczych.

Skupię się na wymagającym dłuższej refleksji formacie książkowym. Rzadko jest on owocem przemyśleń przedstawicieli nauk ścisłych i stosowanych, bo znakomicie opóźnia decydujący tam o sukcesie moment publikacji i utrudnia wyłuskanie esencji konkretnego osiągnięcia naukowego. Opracowania książkowe są natomiast solą humanistyki jako owoce żmudnej pracy autorów, którzy postanowili nadać swojej wiedzy i przemyśleniom kształty obszernych monografii.

W humanistyce umiejętność logicznego zwerbalizowania długiego wywodu świadczy o osiągnięciu poziomu samodzielności intelektualnej – oczywiście w przypadku książek dobrych. Co prawda ostatnio ta trudna umiejętność cieszy się mniejszym zainteresowaniem, bo łatwiej jest pokonywać kolejne stopnie kariery naukowej, składając do komisyjnej oceny tzw. zbiory artykułów monotematycznych, ale monografie wciąż zwracają uwagę i są chętnie komentowane.

Nowe książki przyciągają uwagę specjalistów w danej dziedzinie i tych choćby zainteresowanych prezentowaną tematyką. Są więc często przedmiotami komentarzy i debat, a czasem stają się pretekstem do zwołania spotkań promocyjno-dyskusyjnych. Można wtedy zaobserwować charakterystyczne zachowania kolegów po fachu, od których oczekujemy więcej niż od anonimowych frustratów, którzy poprawiają swoje neurotyczne samopoczucie, wypełniając Internet nieskrępowanymi dywagacjami.

W krajach tzw. Zachodu takie spotkania mają postać skupionej na najważniejszych kwestiach poważnej dyskusji, której uczestnicy starają się wzajemnie przekonywać w atmosferze pozytywnego zainteresowania. Natomiast w Polsce uczestnicy takich zebrań w większości przypadków zdają się przede wszystkim czytać na błędy i potknięcia autora – rzeczywiste, drugorzędne, albo wręcz mniej lub bardziej wydumane. Wydaje się, że biorąc książkę po raz pierwszy do ręki, najpierw zaglądną do indeksu i spisu literatury, aby sprawdzić, czy autor zacytował ich własne prace i czy zrobił to wystarczająco często. Przeważnie

uznają, że zbyt rzadko. Następnie cierpliwie szukają potknięć, które można wytknąć, czy też wręcz wykorzystać do zdezwurowania dzieła i jego autora, który traktowany jest jak przeciwnik, a nie partner w dyskusji. Często kwestionuje się nawet jego prawo do wyboru poruszanych tematów, przez wskazywanie tego, co karygodnie pominał.

Nie wiem, jak wytłumaczyć tę skłonność do skupiania się na słabościach (bez względu na ich rzeczywistą wagę) i niechęć do szukania pozytywów, które można uznać za wartościowy wkład w postęp naszej wiedzy. Chyba musi to być pokłosie generalnie niższego w Polsce poziomu życia publicznego, w którym wzajemne zwalczanie się jest dominującym kierunkiem. Na to nakłada się słabość dydaktyki uniwersyteckiej, w której przede wszystkim akcentuje się jednoznaczność ocen, co wszak najłatwiej osiągnąć przez skupianie się na „minusach”.

Niestety, nie ma to charakteru zalecanego przez Karla Poppera krytycznego racjonalizmu, który powinien znamionować społeczeństwa otwarte z ich akceptacją stałego wielogłosu konfrontowanych ze sobą poglądów. W Polsce chodzi raczej o forsowanie swoich własnych racji i swojej metody badawczej, jako oczywiście słusznych. Inne poglądy nie są akceptowane lub przynajmniej demonstracyjnie ignorowane. Wygląda to na niemal „organiczną” niezdolność do uznania wielogłosu za normalny stan debaty.

Zasiadając w różnych gremiach „grantodawczych”, widzę przejawy tego problemu w wyraźnie eksponowanej przez recenzentów skrajności ocen, wynikającej z trudem ukrywanej niechęci do odmiennych poglądów, jak też do ich autorów. Powoduje to czasem zadziwiająco rozbieżność wniosków, przy czym te hiperkrytyczne czasem wręcz topią projekt, znacząco obniżając punktowy wynik procesu ewaluacyjnego.

Do tego dochodzi niechęć do ujawniania opinii pozytywnych. Gwoli lepszego uargumentowania moich podejrzeń, przed napisaniem tego felietonu przeprowadziłem mały eksperyment psychosocjologiczny. Rozesłałem mianowicie prostą wiadomość do stu kilkudziesięciu polskich i zagranicznych badaczy o zbliżonych do moich zainteresowaniach. Była to informacja o zakończeniu po ćwierćwieczu zbiorowych działań, które zaowocowały publikacją serii osiemnastu tomów „Origines Polonorum”, oferujących nową i syntetyzujących rozproszoną dotąd wiedzę o ważnych fragmentach najdawniejszych dziejów polskiej państwowości.

Cudzoziemcy zareagowali natychmiast lub szybko, gremialnie gratulując osiągnięcia i dopytując się o szczegóły. Tymczasem echo polskie było niemal zerowe, bo moją satysfakcję otwarcie podzieliła garstka kolegów, którzy wyłamali się z dominującej ciszy. Ta prosta statystyka jest znacząca w świetle powyższych uwag, potwierdzając intuicyjną wcześniej charakterystykę specyficznego recenzowania „po polsku”.

Ale może to jest tylko moje zbyt subiektywne wrażenie?

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

Instytut Archeologii i Etnologii PAN  
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego



Tekst ks. prof. Józefa Tischnera, którego fragmenty prezentujemy poniżej, nadesłał nam prof. Marian Tischner, za co mu serdecznie dziękujemy. Słowa pisane 30 lat temu okazują się ciągle aktualne.

## Darowane pięć minut\*

(Fragmenty książki: Józef Tischner. *Kot pilnujący myszy. Nieznane teksty*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019)

### Darowane pięć minut

Czujemy to wszyscy mniej lub bardziej wyraźnie, że Polska po upadku komunizmu otrzymała swoje „pięć minut” w dziejach. Stało się coś, co było marzeniem pokoleń: Polacy sami bez obcej interwencji mogą zbudować suwerenne państwo i określić na długi czas warunki jego bezpieczeństwa. Konkretnym celem, jaki się rysuje, jest wejście do Europy. [...] Oznacza to włączenie Polski do europejskiego systemu bezpieczeństwa oraz do Europejskiej wspólnoty gospodarczej. Ani jedno, ani drugie nie dokonuje się pod przymusem. Na tym polega wyjątkowość naszej sytuacji, że decyzje w sprawie integracji z Europą mogą być dziś suwerennymi decyzjami naszego pokolenia.

Aby wejść do Europy, potrzebne jest jednak spełnienie pewnych warunków. Najpierw trzeba zrozumieć, czym jest zjednoczona Europa. [...] W dyskusjach na ten temat zapomina się o jednym: wielcy twórcy powojennej Europy – [...] – budując powojenny ład europejski, nawiązywali i wywodzili go z tradycji chrześcijańskich. Po klęsce narodowego socjalizmu i wobec zagrożenia komunizmem nie widzieli żadnej innej perspektywy przed Europą, jak nawiązanie do tamtej tradycji. Przystąpienie do wspólnoty europejskiej wymaga od nas również dziś przemyślenia istoty chrześcijaństwa.

Drugim warunkiem jest zrozumienie demokracji. [...] Demokracja jest wspólnym dziełem narodu i politycznych przywódców. Demokracji nie będzie, jeżeli obywatele nie będą sobie jej życzyć, nawet gdyby pragnęli jej polityczni przywódcy. [...]

I jeszcze jeden warunek: reforma gospodarcza. Polega ona na przejściu od gospodarki planowej do gospodarki rynkowej. Także ta reforma wymaga przyzwolenia narodu. [...]

Punktem wyjścia przemian, które mają nas doprowadzić do Europy, jest szczególnie sytuacja historyczna, określona przez dziedzictwo komunizmu. [...] Czym bowiem był komunizm?

[...] jedno wydaje się podstawowe: komunizm był światem zbudowanym z pozorów. System komunistyczny nazywał się demokracją, ale był to pozór demokracji, wspólnota państw socjalistycznych była pozorem wspólnoty, rząd pozorem rządu, parlament pozorem parlamentu, a gospodarka [...] – jak to kiedyś powiedział Alain Besançon - „widmem gospodarki”.

[...] wychodząc z komunizmu, wychodzimy ze świata pozorów, do twardej rzeczywistości. Ale siła społeczna pozorów jest najczęściej większa niż siła prawdy, nawet jeśli pozory są krótkotrwałe, a prawda wieczna.

Czas komunizmu był także okresem wszechstronnego zniewolenia. Stąd nasze doświadczenie „pięciu minut historii” spleta się ściśle ze szczególnym przeżyciem wyzwolenia. W nowej sytuacji rysuje się perspektywa nowego „skoku wolności”. [...] Także tego „skoku wolności” nie będzie, jeśli nie zechcą go dokonać sami Polacy.

Napięcia, konflikty i spory, przez jakie przechodzi dziś polskie społeczeństwo, wyciskają głębokie piętno na polskiej wierze. Są dla niej prawdziwym wyzwaniem. Wiara religijna – chrześcijaństwo, katolicyzm – służy dziś nie tylko jako środek zbawiania człowieka, ale również jako narzędzie legitymizacji określonych podstaw na skrzyżowaniu dróg. [...]

Między współczesną Polską a Europą istnieją liczne napięcia i spory. Jaką rolę odgrywa w ich powstaniu i w ich łagodzeniu współczesny polski katolicyzm?

[...] Dotknę trzech płaszczyzn: demokracji, świadomości narodowej, resentymetu. Aby nie przedłużać, pomiję zagadnienia reformy gospodarczej.

### Spór o demokracje

Podstawowy zarzut, jaki stawiała kiedyś katolicka nauka społeczna o demokracji [...] brzmiał: demokracja przyznaje takie same prawa błędowi, jak i prawdzie, co oznacza relatywizację prawdy. Aby uniknąć relatywizmu, katolicy [...] powinni domagać się od państwa przyznania im jakiegoś szczególnego statusu prawnego [...]. Chodzi o to, by widoczna się stała różnica między prawdą chrześcijańską, a nieprawdą reszty świata.

Demokracja europejska rodziła się z innego przekonania. Zakłada, że nowoczesne społeczeństwa są społeczeństwami pluralistycznymi, czyli takimi, których obywatele mają rozmaite poglądy na to co jest prawdą i fałszem. Idzie więc o to, by w sporze między rozmaitymi punktami widzenia obywatele nie stosowali środków przemocy. Celem podstawowym demokracji stało się zachowanie pokoju społecznego. [...]

Czy także u nas można spotkać podobną krytykę demokracji? Owszem tak. [...] Tym razem chodzi o równouprawnienie przeciwnych poglądów etycznych, wśród których na naczelnym miejscu staje się pogląd ochrony życia nienarodzonych. Czy można zgodzić się na równouprawnienie zwolenników i przeciwników aborcji? *Casus* aborcji okazuje się bodaj głównym źródłem, z którego w sposób konsekwentny i logiczny wypływa dziś w Polsce nieprzejednana krytyka europejskiego świata i narodowa legitymizacja demokracji.

Przejrzymy się biegowi rozumowań. Punktem wyjścia jest aksjomat: trzeba bronić życia człowieka od chwili poczęcia. Aksjomatowi etycznemu towarzyszy przekonanie: w sprawach etyki nie może być mowy o kompromisie. W naszym przypadku kompromis oznaczałby przyzwolenie na śmierć niewinnego. W czasach walki z totalitaryzmem bezkompromisowość została wyniesiona do rangi najwyższych z cnót. Do bezkompromisowości wzywał Kościół i wzywała również opozycja laicka. Jak po takim ćwiczeniu w nocie bezkompromisowości można stawiać myśl o demokratycznym kompromisie?

Sformułowana została teza: „aborcja – miarą demokracji”. Teza ta może być rozmaicie rozumiana. Można ją rozumieć w tym sensie, że demokracja wymaga ciągłych udoskonaleń etycznych; doskonaląc demokrację, zachowujemy jednak reguły demokracji i tym samym ją potwierdzamy. Ale można również kwestionować etyczny fundament demokracji i tym sposobem legitymizować przemoc w celu jej obalenia, gdy woła większości ustanowi prawo przeciwne prawu natury. Która interpretacja przeważa? Trudno powiedzieć, faktem jest jednak, że istnieje u nas opór przeciwko demokracji, którego źródłem jest samo chrześcijańskie sumienie.

Tak więc punkt widzenia bezkompromisowości etycznej prowadzi do stwierdzenia, że „Europa jest niemoralna” [...] powstaje cały łańcuch skojarzeń: Europa to rozwiązłość, to naruszenie trwałości rodziny, równouprawnienie mniejszości seksualnej, to konsumpcjonizm, relatywizm, laicyzm. Łańcuch skojarzeń obejmuje również zachodni katolicyzm: Europa to upadek wiary, to puste kościoły, przyjmowanie komunii bez spowiedzi, to brak powołań, to liberalne doktryny socjologiczne. [...] Słowo „Europejczycy” staje się synonimem odejścia lub nawet zdrady autentyzmu katolickiego.

Raz jeszcze chcę podkreślić: nie wiem, jak wielki zasięg ma społeczne uznanie, dla tej krytyki demokracji, pewne jest jednak to, że krytyka ta stanowi istotny fakt społeczny. Jeżeli nie oznacza powrotu do czasów starego totalitaryzmu, to z pewnością oznacza swoiste „sypanie piasku” w tryby reformy ustrojowej.

JÓZEF TISCHNER

Redakcja dziękuje profesorowi Marianowi Tischnerowi za udostępnienie tego tekstu sprzed 30 lat, który okazuje się niezwykle aktualny.

\* Nota Wydawnictwa Znak: „Polis” 1995 nr 4/5; przedruk w: *Europa i Kościół*, praca zbiorowa pod red. ks. H. Jurosa, Warszawa 1997 (pt. *Dziedzictwo chrześcijańskiej Europy i jego przyszłość. Droga do europejskiej nowożytności*) oraz w „Tygodnik Powszechny” 2003, nr 6 (pt. *Droga do europejskiej nowożytności*).

# Rocznica – jakich wiele

Trzydzieści pięć lat... tyle lat mają dzisiaj najstarsze szkoły niepubliczne powstałe w III RP. Rozpoczęły one swoją działalność we wrześniu 1989 r., ale odpowiednie zgody na funkcjonowanie wywalczyły już wcześniej, jeszcze w maju 1989 r., a więc tuż przed przełomowymi wyborami czerwcowymi. Szkoły przełomu? Na pewno tak. I to nie tylko ze względu na start, tak dokładnie zbieżny w czasie ze zmianą ustroju kraju, ale również z powodu przełomu wieków, do którego zmierzały przez swoje pierwsze dziesięciolecie.

Te nowo powstałe szkoły niepubliczne, głównie podstawowe, nazywane były społecznymi i takie określenie nosiły w nazwie. Było to w tych początkowych latach w pełni uzasadnione, gdyż wszystkie te placówki prowadzone były przez Społeczne Towarzystwo Oświatowe, które uzyskało taką możliwość na drodze sądowej jeszcze od władz PRL. Było to zresztą całkiem trafne określenie z uwagi na charakter szkół, bowiem ich funkcjonowanie w znacznej mierze opierało się na pracy społecznej rodziców, a czasem nawet i nauczycieli. Ta sytuacja dosyć szybko zaczęła się zmieniać, ale nazwa przylgnęła do nich na dłużej. Przez pewien czas utrzymywał się w nas dziwny opór przed określeniem „prywatny”, a sformułowanie „publiczny”, „niepubliczny” budziło niepoważne skojarzenia. I tak, przez pierwsze lata, mówiło się o szkołach „państwowych” i „społecznych”. Te ostatnie nie budziły ogólnej sympatii. I chociaż postrzeganie to stopniowo łagodniało, to przez dłuższy jeszcze czas krążyły przeróżne niepokojące opowieści o nauczaniu i wychowaniu w tym „niepaństwowym”, niszowym sektorze. Pomimo jednak tak mało sprzyjającej atmosfery kolejne stowarzyszenia, fundacje, również osoby fizyczne otwierały następne placówki. I wszystkie te szkoły, często już określające się jako prywatne i przyjmujące nazwy według własnego uznania, z niecierpliwością wyczekiwały wyników egzaminów wstępnych do szkół ponadpodstawowych swoich pierwszych absolwentów. Nie zawiodły się, bo pierwsza weryfikacja wypadła dla „niepublicznych” bardzo korzystnie. Jednak dopiero wprowadzenie od 2002 r. obowiązkowych egzaminów zewnętrznych po kolejnych etapach edukacji spowodowało radykalną już zmianę w postrzeganiu edukacji niepublicznej. Wyniki uczniów wskazywały jasno, że jest to edukacja na bardzo dobrym, rzetelnym poziomie. I ta opinia – potwierdzana corocznie po dziś dzień, wydaje się teraz już czymś zupełnie oczywistym.

Ale czy tylko o to, o wysokie wyniki nauczania chodziło nam ponad 30 lat temu? Na pewno nie. Nasze szkoły, szkoły przemianowały być przecież liderem zmian w edukacji.

Zapewne trudno dokładnie określić, w jakim stopniu różne nowe działania edukacyjne prowadzone w szkołach niepublicznych miały wpływ na zmiany, które następowały w szkolnictwie publicznym. Można jednakże podać przykłady pewnych rozwiązań, które przyjęte w szkołach niepublicznych, po jakimś czasie zaczynały obowiązywać w całym systemie edukacji.

Takim godnym uwagi przykładem jest bez wątpienia system oceniania. Prawo oświatowe od samego początku dawało w tym zakresie dosyć dużo swobody szkołom niepublicznym. Musiały one co prawda stosować obowiązujące w szkołach publicznych zasady klasyfikacji rocznej i końcowej, ale tzw. ocenianie bieżące było wewnętrzną sprawą szkoły. I tak, co ambitniejsze szkoły zaczęły bardzo szybko odchodzić od powszechnie stosowanej sześciostopniowej oceny cyfrowej na rzecz przede wszystkim oceny opisowej, szczególnie w klasach nauczania początkowego.

W klasach starszych coraz powszechniej pojawiały się testy sprawdzające, a wraz z nimi oceny wyrażane najczęściej w procentach. Wbrew pozorom to reformowanie systemu oceniania nie przebiegało łatwo. Ku swemu zdziwieniu na spory opór natrafili reformatorzy ze strony rodziców. „Co to znaczy, że czyta płynnie? Czy to jest na 4, czy na 5?”. Tego typu pytaniami nierazdko atakowane było grono nauczycielskie, też zresztą nie w pełni zachwycone zmianami. Problemy ze skalą procentową były jeszcze większe.

Teraz, gdy już od lat w całym systemie edukacji ocena opisowa obowiązuje w młodszych klasach, a wyniki egzaminów zewnętrznych podawane są w procentach, nikogo to już nie dziwi, ale dla organizatorów nowej szkoły naprawdę nie był to łatwy proces.

Inny ważny przykład to programy nauczania. I również w tym przypadku od samego początku szkoły niepubliczne miały pewną autonomię. Nauczyciele mogli realizować wybrane lub opracowane przez siebie programy nauczania, pod warunkiem że oparte były na obowiązującej w całym systemie podstawie programowej. Powstawało wiele ambitnych, wartościowych programów autorskich z sensownie rozszerzonymi treściami nauczania. Aktualnie jest to już od lat możliwe również w szkołach publicznych. Inna sprawa, w jakim stopniu ta szansa tworzenia lub choćby tylko wzbogacania istniejących programów jest wykorzystywana.

Jednym z głównych celów, jaki stawiali przed sobą zgodnie wszyscy pierwsi organizatorzy szkolnictwa niepublicznego, było nauczanie języków obcych na jak najwyższym poziomie. Szkoły w swoich ofertach prześcigały się w liczbach godzin, atrakcyjności metod i sposobów nauczania, szczególnie języka angielskiego. Teraz sytuacja wyraźnie się ustabilizowała, wszystkie szkoły niepubliczne traktują to zadanie priorytetowo i zapewniają solidną edukację w powyższym zakresie. Nie trzeba było jednak długo czekać, a również i w tym przypadku w szkolnictwie publicznym nastąpiła wyraźna pozytywna zmiana. I chociaż placówki publiczne dysponują na pewno skromniejszymi środkami na wspomniany cel, to ich uczniowie osiągają często też bardzo dobre wyniki na egzaminach.

Zdarza się również, że wprowadzanie szkolnych nowości, chociaż formalnie możliwe, nie jest wykonalne w oderwaniu od całego systemu. Tak na przykład było przed laty z nieudaną próbą wprowadzenia przez niektóre szkoły odrębnego niż obowiązujący w całym kraju terminu ferii zimowych (pewnie już mało kto pamięta, że kiedyś był jeden taki termin dla wszystkich). Natomiast aktualna do tej pory sprawa, na której odgórne rozwiązanie z pewnością czeka wiele szkół niepublicznych, to zróżnicowanie pensum dydaktycznego w zależności od przedmiotu nauczania. Rzecz niby oczywista, ale nie taka prosta do indywidualnego wprowadzenia przez szkołę, szczególnie w sytuacji gdy część nauczycieli pracuje jednocześnie w sektorze publicznym.

Z tych przykładowo podanych faktów nie należy jednak wnioskować, że między niewielką ciągle sferą szkół niepublicznych a całą domeną powszechnego szkolnictwa zacierają się różnice. Nie, różnice są duże, wielorakie i zawsze takie będą. To są po prostu inne szkoły. Nie ma już jednak między nimi tej przepaści, jaka dzieliła „państwowe” i „społeczne” przez pierwsze lata. Przyzwyczailiśmy się już wszyscy, że tak jak w innych branżach, tak też i w edukacji istnieją obok siebie sektory publiczny i niepubliczny. Że tak jest normalnie i dobrze. Tak w końcu już się dzieje od 35 lat.

EWA PYRKOSZ-JADACH

Towarzystwo Społecznej Szkoły Podstawowej  
im. Piotra Michałowskiego

# Habilitacja do lamusa?

Prasa doniosła niedawno, że grupa uczonych wystosowała Apel do Ministra Nauki, w którym wnioskuje o zniesienie habilitacji jako warunku awansu naukowego, który uprawnia do promovania uczniów na stopień doktora.

Z treści Apelu wynika, że głównym powodem jego powstania było pojawienie się pracy, w której zbadano kariery wielu uczonych w 45 krajach na całym świecie i wykazano, że tam, gdzie nie ma habilitacji, kariery kobiet rozwijają się szybciej niż tam, gdzie habilitacja obowiązuje. Na kariery mężczyzn ta sprawa nie ma wpływu.

Ponieważ większość sygnatariuszy Apelu wysoko cenię, a niektórych nawet znam osobiście, postanowiłem potraktować sprawę poważnie i zapoznać się bliżej z pracą, na której się oparł.

Od strony technicznej faktycznie robi ona wrażenie. Statystyka jest imponująca (zanalizowano przeszło dwa i pół miliona naukowych karier!), obliczenia są z pewnością bez zarzutu, skoro praca jest podpisana przez informatyków. Mimo tych bezspornych zalet pozostają jednak, moim zdaniem, pewne wątpliwości czy sformułowane wnioski są wystarczająco dobrze udokumentowane. Spróbuję moje zastrzeżenia przedstawić, chociaż wiem, że – nie będąc socjologiem – stąпам po niepewnym gruncie. Ale sprawa jest na tyle poważna, że może lepiej nie zostawiać jej wyłącznie socjologom i informatykom. A przynajmniej wolno chyba pokornie prosić, aby wyjaśnili niektóre kwestie.

Po pierwsze, zastosowana w pracy metoda oceny sukcesu naukowego jest oparta na tzw. zasadzie dziedzinienia prestiżu, czyli na podstawie jakości („prestiżu”) czasopisma lub wydawnictwa, gdzie wynik został opublikowany.

Prestiż czasopisma/wydawnictwa jest z kolei definiowany jako wynik klasyfikacji SCImago Journal Rank (SJR). Jak już niedawno pisałem (PAUza 683), niezależnie od tego jak dobra jest klasyfikacja wydawnictwa, ocenianie wartości wyników naukowych na podstawie miejsca, gdzie były opublikowane nie jest właściwe, a w każdym razie na pewno nie jest to poprawne kryterium we wszystkich dziedzinach. Wyjaśniał to kiedyś szczegółowo prof. Andrzej Kajetan Wróblewski (PAUza 359), a ostatnio nawet bardzo dobitnie powtórzył (PAUza 685). Streszczając: korelacja pomiędzy jakością czasopisma a wartością pracy jest bardzo słaba.

Drugie zastrzeżenie, poważniejsze, to prosta obserwacja, że stwierdzenie korelacji między zjawiskami nie musi oznaczać, że jedno jest skutkiem drugiego. Nie podejrzewam, żeby autorzy ignorowali tak elementarną kwestię, ale nie znalazłem do niej komentarza. A przecież badane zjawiska są niezwykle skomplikowane (co autorzy uczciwie przyznają) i mogą mieć wiele przyczyn. Nie ma więc gwarancji, że to właśnie habilitacja decyduje o tym,

że kariery kobiet rozwijają się wolniej. Aby to udowodnić, trzeba wszak zbadać też korelacje pomiędzy habilitacją a innymi potencjalnymi przyczynami opóźnienia kariery.

I jeszcze jedno. Autorzy zupełnie nie odnoszą się do faktu, że samo pojęcie habilitacji nie wszędzie jest tak samo rozumiane. Kraje są po prostu dzielone na takie w których habilitacja formalnie obowiązuje i takie, w których nie obowiązuje. Tymczasem nie tylko w różnych krajach habilitacja oznacza różne rzeczy, ale nawet w Polsce jest ona bardzo różnie rozumiana w różnych dyscyplinach i uczelniach. Dlatego prosta klasyfikacja tak/nie zupełnie nie oddaje rzeczywistości i powinna być zniuansowana. Co innego bowiem habilitacja wymagająca napisania „pracy (książki) habilitacyjnej”, a co innego taka, w której wystarczy przedstawić zbiór prac połączonych wspólnym tematem. Zdaję sobie sprawę, że wprowadzenie takiego dodatkowego parametru komplikuje problem, ale wydaje mi się, że wysoce podniosłoby też wartość otrzymanych rezultatów. Inaczej autorzy pracy narażają się na zarzut porównywania rzeczy nieporównywalnych.

**Podsumowując, wydaje mi się, że sygnatariusze Apelu zbyt pochopnie uznali, że wyniki cytowanej publikacji stanowią NAUKOWY dowód przedstawianej przez nich tezy.**

Wracając do istoty sporu, sądzę, że zasadnicza różnica między zwolennikami i przeciwnikami habilitacji sprowadza się do tego, czy uczelnia ma **wyłączne** prawo do decydowania kogo przyjmuje na stałą lub quasi-stałą posadę oraz, co najważniejsze, uprawnia go do prowadzenia przewodów doktorskich, czy proces ten powinien jednak podlegać jakiejś kontroli **zewnętrznej**.

Widziałem już w moim długim życiu wiele sytuacji, gdy jedynie perspektywa zewnętrznej kontroli umożliwiła zatrzymanie awansu człowieka o poziomie naukowym poniżej nawet zupełnie elementarnych wymagań. Dlatego wydaje mi się, że warto bronić habilitacji, która stanowi pewną (niedoskonałą, przynajmniej) przeszkodę w zaśmiecaniu środowiska naukowego w Polsce ludźmi zupełnie niekompetentnymi. Trzeba wszak pamiętać, że każdy z nich będzie następnie promował kolejnych nieudaczników.

Może powinienem tutaj dodać, że – jak już kiedyś pisałem (PAUza 516) – nie jestem zwolennikiem uniwersalnej, wszędzie obowiązującej, procedury habilitacyjnej. Przeciwnie, uważam, że jej forma winna być dostosowana do wymagań i obyczajów panujących w danej dziedzinie nauki.

Mam nadzieję, że takie stanowisko może być do przyjęcia, przynajmniej dla niektórych sygnatariuszy tego ważnego Apelu. Myślę też, że zgodzą się, że warto sprawę dokładnie przemyśleć i przedyskutować, zanim zostaną podjęte wiążące decyzje. Chętnie udostępniemy łamy PAUzy wszystkim, którzy chcieliby się w tej sprawie wypowiedzieć.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademska – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.  
**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.